

PRZYPADKI „PROFESORA” WEISSA

Chwycił za kieliszek, po nim zaskoczony generał i cała reszta. Wzniesiono toast za pomyślność Śląska Wrocław. Szybciej niż zaplanowano, z sali konferencyjnej przeniesiono się do żołnierskiej stołówki. Obiad już czekał i... też był zakrapiany. Przed każdym z nas stał pusty kieliszek, butelek na stole nie było. Podchodził z flaszką sierżant i przydzielał niemalże aptekarską dawkę. Trunkowym to nie mogło się podobać. Kilku przezornych kolegów (co za wyobraźnia?!) miało w kieszonkach własne kieliszki, te z sali obrad. Stawiali je obok tej lampki z przydziału i informowali żołnierza:

– A to dla profesora Weissa...

Zaskoczony sierżant nie protestował, nalewał. Po obiedzie jednak zapytał:

– Obywatele dziennikarze, który z panów jest tym „profesorem”? Tęga głowa!... Opróżnić tyle kieliszków?!

Chodziło oczywiście o redaktora Zygmunta Weissa – przypominam – jemu nadałem ksywkę „profesor”. We Wrocławiu akurat nie był, stąd podstępny zwrot „to dla profesora Weissa”, bo Zyzio lubił pojeść i popić na takich darmowych imprezach. Zresztą nie tylko on, nasz „opiekun” z biura prasy KC, Jan Symonik – również. „Profesor” jednak zawsze i wszędzie tryskał humorem, nie miał wrogów, mnóstwo przyjaciół, przepijał bruderszafty nawet z dziennikarskimi praktykantami. Na zawody dość często jeździł w duecie z fotoreporterem Mieczysławem Świdorskim. Obaj oszczędni, często w delegacji mieli własny prowiant. Chłodzili przekąski za oknem. Pewnego razu z czterech jajek tam położonych zostały tylko dwa. „Profesor” ubolewa:

– Proszę Miecicia, to jakaś kara boska, dwa jajka zniknęły! Czyżby zabrała je pokojówka? A może wiatr porwał? I niech sobie Miecicio wyobrazi, że to właśnie jego jajka się ulotniły...

Red. Weiss świetnie sobie radził w tzw. „humorze okazjonalnym”, w konkretnej sytuacji, w danym momencie. Na każdy dowcip o sobie, nawet najzłośliwszy, zawsze znalazł równie ciętą odpowiedź. „Profesor” również sam chętnie opowiadał sprośne kawały, ale lubił też w grubym notesie zapisywać nowe, dotychczas nieznanne. Popisywał się tymi wicami w redakcji na imieninach lub przedświątecznych libacjach. Z siebie też potrafił się nabijać. Kiedy wracał z niemieckiej niewoli, miał w kieszeni 17 (siedemnaście!) dolarów. Pozbył się ich przed wyjazdem do Polski, bo obawiał się rewizji na granicy. Nabito mu do głowy, że komuniści za przemyt dewiz mogą go wsadzić do więzienia. Strzeżonego, Pan Bóg strzeże!

Goły, jak święty turecki, gdy tylko dotarł do Warszawy, zameldował się w redakcji. Przytaszczył sporo numerów „Przeglądu Sportowego”, które własnoręcznie redagował w oflagu. Kochał to czasopismo. Przyzwyczajony w niewoli do margaryny, własnego kubka na herbatę i grzałki, pracę w redakcji zaczynał od takiego właśnie skromnego śniadania. Potem pisał, dużo i długo, po każdym potknięciu stylistycznym wrzucał kartki do kosza. Palił przy tym, ba – niemalże jadł jednego papierosa za drugim. Niedopałki też wrzucał do kosza. Kilkakrotnie wzniecił pożar w naszym pokoju. Pukał się wtedy w głowę i beształ samego siebie:

– I mnie takiego ofermę zrobiono w 1939 dowódcą zwiadu rowerowego!?... Od razu wiedziałem, że my tej wojny z Hitlerem nie wygramy...

Na uroczystościach sportu wojskowego we Wrocławiu „profesora” jednak nie było. Kto więc zorganizuje szybkiego pokerka? Chętnych niewielu, większość poszła w miasto. Red. Skórzewski, z którym mnie zakwaterowano, już wcześniej kupił gdzieś pół litra i zachęcił do gry w kariokę. Najbardziej ciągnęło go do kielicha, ale przy okazji chciał też pobawić się w karty. Sprzęt miał zawsze przy sobie. W Warszawie chętnie się ze mną spotykał. Dzwonił do redakcji: – Juruś? Tu Miruś!... Za kwadrans w „Kameralnej” na Foksal!...

Przed wejściem dość często w pozie grzesznika spowiadał mi się ze swej lekkomyślności: – Gdyby nie ta „Kamera” godziny spędzone tu na wysokich stołkach i ta kozetka na zapleczu, na której od czasu do czasu „odpoczywałem” stałby dziś na Foksla mój „Mercedes” z zawodowym kierowcą. A tak, za roztrwonione przez mnie „dudki” własnymi „Trabantami” podjerdzają tu barmani i kelnerzy. Juruś wybac, ale ja się chyba zastrzelę!...

– Teraz we Wrocławiu, tylko my dwaj, w „tango” nie idziemy, wolimy pograć w karty. Od lat mamy taką niepisaną umowę: walczymy tak długo, dopóki któryś z nas nie wygra trzech – kolejnych partii. To się rzadko zdarzało, niekiedy nawet noc była za krótka. Znowu szliśmy „łeb w łeb”. Nad ranem zadzwonił telefon, Miruś podniósł słuchawkę :

– Dzień dobry obywatelu dziennikarzu. Po drugiej stronie podoficer dyżurny. Pobudka! Pobudka! Czas na śniadanie!... Czy pana kolega też już wstał?

– Tak, od stołu... Właśnie kończymy grę w karty. Dziękujemy za informacje. Jesteśmy gotowi... Czuwamy tu całą noc...

Niecały rok później na jednej z imprez centralnych w Kijowie Janek Wojdyga i ja z „PS” oraz zastępca redaktora naczelnego „Sportu” Katowice Leszek Drapiński poznaliśmy prawnuczkę wielkiego ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki. Romantyczna dusza, pokochała twórczość Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Aleksandra Puszkina. Z pamięci recytowała duże fragmenty „Pana Tadeusza”, „Grażyny”, „Kordiana”, „Eugeniusza Oniegina” i... twórczości pradziadka. Elena Szewczenko mieszkała w Darnicy pod Kijowem. Zaprosiła Polaków na herbatkę z samowaru, a potem poprowadziła na cmentarz, gdzie złożyliśmy kwiaty na grobach polskich żołnierzy z samodzielnego dywizjonu artylerii I Armii WP.

Z wizytą do Eleny zamierzaliśmy pojechać taksówką, ale przed hotelem „Dnipro” długa kolejka, więcej chętnych, niż samochodów. Sprytny i oblatany

w sowieckich realiach Janek Wojdyga dosłownie za pięć rubli wynajął na tę wyprawę ciężarówkę pełną gruzów. „Gruzowik” już nie zupełnie „świeży” wytrząsł nas niemiłosiernie, ale dowiózł, gdzie trzeba. Wróciliśmy późnym wieczorem. W „gostinicy” rżnie ukraińska orkiestra, ale bawią się tylko jacyś obcokrajowcy. Śpiewają. Nadstawiamy uszy. Ryczą po niemiecku. Łyso nam się zrobiło, ale... na frasunek dobry trunek. Postanowiliśmy kupić butelkę „pircówki” i opróżnić w pokoju. Bo u prawnuczki Szewczenki alkoholu nie było.

– Pircówka? Butelka? – powtórzyła za nami barmanka. – Można, ale tylko za zachodnią walutę.

– Omal nas szlag nie trafił. Jak oni nas traktują? Wygarniamy niezadowolenie „naczelnikowi” sali:

– W Darnicy Niemcy ubili wielu Polaków i Ukraińców, a teraz w „Dnipro” tańczą i śpiewają, jak i siebie w domu. Kąpią się w szampanie! A dla nas sojuszników nie ma nawet flaszki wódki?!

„Naczelnik” nieco się zmieszał, coś tam bąknął pod nosem, ale widać ruszyło go sumienie, bo kazał podać pół litra.

– Piat’ karbowańcow – chłodno oznajmiła kelnerka.

– O, kurwa! – wrzasnął Drapiński. – Znowu za dewizy!... Leżymy...

– Janek uspokoił wystraszzonego Leszka: – Karbowaniec – to taka dawna ukraińska złotówka.

❧ CZEŚĆ III ❧

LATA URODZAJU

Rozbrajanie Legii

Deyna – król Olimpiady

Lato w Monachium

Pożegnanie z Górskim

„Alchemia” pana Gmocha

Koleżeński... areszt

Syrenka dla Napoleona

„Gorąca linia” selekcyjnera

Na dywanie w „białym domu”

Kąpiel w gejzerze?...

Wojna na Malcie

Harce Bońka na Camp Nou

Lata sześćdziesiąte żegnaliśmy z mieszanymi uczuciami. Mocno wówczas nagłaśniane hasło „JAKIE KLUBY, TAKA REPREZENTACJA” niezbyt wiernie obrazowało faktyczny stan polskiego piłkarstwa. Wyżej ceniono drużyny klubowe. Sprawy i potrzeby drużyny narodowej tylko na papierze były najważniejsze. Reprezentacja przegrała zresztą kolejne eliminacje do mistrzostw świata, natomiast dwa nasze eksportowe kluby – Górnik Zabrze i Legia Warszawa kończyły rok 1969 awansem do ćwierćfinałów europejskich rozgrywek pucharowych. W naszych warunkach, słusznie określanych jako „**ni pies, ni wydra**”, ten wyczyn ligowców niewątpliwie cieszył. Znaczna część kibiców była więc usatysfakcjonowana.

Wyższość Legii i Górnika w naszej lidze nie podlegała dyskusji. Dość długo były to sukcesy niemal wyłącznie na użytek wewnętrzny, bo poza wygraną zabrzan w roku 1967 z Dynamem Kijów, a nieco później wojskowych z TSV 1860 Monachium, pozostałe starty tych i innych drużyn na arenie międzynarodowej kończyły się niepowodzeniem. W roku 1968 nasze barwy w Europie obok Górnika miał reprezentować „układowy mistrz” Ruch Chorzów. Co by te kluby osiągnęły, nie wiemy, bo akurat wtedy znowu na teren piłkarstwa wkroczyła polityka. Ruch wylosował Saint Etienne, a Górnik Altay Izmir, jednak po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, UEFA wszystkim reprezentantom bloku wschodniego zmieniła losowanie. Ruch miał grać teraz z Dynamem Kijów, a Górnik ze Spartakiem Sofia. Nasz duet, **POD NACISKIEM WŁADZ PAŃSTWOWYCH**, wycofał się z tych rozgrywek.

Zdecydowany atak Legii i Górnika na europejskie pozycje nastąpił dopiero w następnym sezonie. Jesień 1969 była bardzo pogodna zarówno dla mistrza, jak i zdobywcy Pucharu Polski. Legia, po sukcesie w meczach TSV 1860, wygranej z Ruchem – mistrzem 1968 aż 6:2 i udanej wyprawie do USA, nabrała odpowiedniego szlif i pewności siebie. Trener Edmund Zientara niemalże

katorżniczą pracą wzbogacał te wszystkie wartości, które w latach 1966 – 1969 zaszczerpił legionistom Jaroslav Vejvoda. Zespołowość, dobra kondycja fizyczna i żelazna dyscyplina taktyczna – to były największe atuty ówczesnego mistrza. W efekcie w reprezentacji Polski grali wtedy nie tylko wciąż młodzi: Deyna, Gadocha, Żmijewski i Blaut, lecz także już 35-letni Lucjan Brychczy.

To właśnie ten kwintet wsparty głównie bramkarzem Władysławem Grotyńskim, obrońcami Władysławem Stachurskim i Antonim Trzaskowskim oraz bramkostrzelnym Janem Pieszka zmiotł w pierwszej rundzie Pucharu Mistrzów rumuński UT Arad. W drugiej turze legioniści dwukrotnie pokonali znanego w całej Europie reprezentanta Francji Saint Etienne. Bohaterem obu tych spotkań był przede wszystkim Kazimierz Deyna. Zresztą, cały sezon 1969 należał do legionisty, tak w klubie, jak i w reprezentacji. PIŁKARZ ROKU!

Rewanżowy mecz Legii z Rumunami w Warszawie olśnił widownię. Zwłaszcza druga połowa była rewelacyjna. Zdruzgotała rywala iście kawaleryjska szarża wojskowych. W ciągu 36 minut osiem (!) przepięknych bramek zdobyli: Gadocha (2), Blaut, Brychczy, Deyna, Pieszko, Stachurski i Żmijewski. Uczta piłkarska! Rozpromieniony Jacek Gmoch odkrył przede mną całą swoją piłkarską duszę: *„Po przerwie gra Legii przypominała piłkarski poemat. O takich bramkach, jakie zdobyli moi koledzy, czyta się tylko w fantastycznych opowieściach”*. W dobrym stylu wojskowi wygrali również kolejny „mecz prawdy” z Ruchem Chorzów. Łatwe 3:0 potwierdziło ich duże umiejętności i mocny charakter; dało tytuł mistrza jesieni.

Górnicy Zabrza byli godnym rywalem legionistów. Te dwa kluby tworzyły trzon reprezentacji. Tu wzloty przeplatały się z upadkami, klasa jeszcze nie ugruntowana. A jednak mecz Polska – Bułgaria, wieńczący Złote Gody PZPN, właśnie dzięki górnikom: Kostce, Latosze, Ośliźnie, Szołtysikowi i Lubańskiemu oraz legionistom Deynie i Żmijewskiemu do łez wzruszył nie tylko „świadka

koronnego”. Oglądałem i opisywałem w „PS” jedno z najwspanialszych spotkań w historii naszej reprezentacji. Jak relikwie przechowuję unikalną fotkę z tego meczu. Duet Deyna – Lubański w braterskim uścisku żegnają Stadion Dziesięciolecia. Biję z ich oczu radość i narodowa duma. Splatają się ich ręce, łączą dusze i serca. Przyjaciele!

Górnik rok 1969 w rozgrywkach o Puchar Europy Zdobywców Pucharów również zakończył pełnym sukcesem. Wilczek, Skowronek, Szoltyś i Banaś (2) strzelili w Zabrzu „dzieciom Pireusa” pięć bramek. W drugiej rundzie Górnik dwa razy po 3:1 pokonał Glasgow Rangers. Pomocnik Olek znowu udowodnił, że ma „podwójne płuca”, a Lubański – dynamit w nogach. Zatem Górnik i Legia w ćwierćfinałach! Informowałem na łamach „Przeglądu Sportowego”, że dzień ten przejdzie do historii naszych drużyn klubowych. Legia we Francji, a Górnik w Szkocji odniosły niezaprzeczalny sukces. Na tym nie koniec! Wczesną wiosną 1970 roku nasz „eksportowy duet” zapowiada dalszy zwycięski marsz przez boiska Europy.

SPÓR O DEYNE

Górnik już był silny, ale planował kolejne wzmocnienia. Ambicje kierownika sekcji piłkarskiej mgr inżyniera Franciszka Gładycha sięgały zwycięskiego finału w Pucharze Europy Zdobywców Pucharów. Natomiast Legii groziło duże osłabienie. Pojawił się tzw. „casus Deyny”. Biły się o niego trzy kluby: Legia, ŁKS i właśnie Górnik. Wprawdzie Kazio publicznie oświadczył, że zostanie w Warszawie i nadal będzie bronił barw Legii, ale w Łodzi i Zabrzu starano się go odwieść od tego zamiaru. ŁKS, powołując się na obowiązujące wówczas przepisy, słusznie domagał się powrotu Deyny do Łodzi. Przepis był jednoznaczny: ... „Do dalszej gry w klubie wojskowym po zakończeniu bieżącej służby upraw-

nia tylko zgoda stowarzyszenia macierzystego”. O wolnym transferze do trzeciego klubu paragrafy milczały. Na łamach „PS” starałem się rozwikłać ten problem.

Jesienią 1967 roku Kazimierz Deyna, jako poborowy, trafił do Legii z ŁKS-u. Wprawdzie w łódzkich barwach rozegrał tylko jedno bezbramkowe spotkanie i to właśnie z Górnikiem Zabrze, ale nie ulegało wątpliwości, że jego macierzystym klubem w końcu 1969 znowu był ŁKS. Znałem Deynę już dość długo, z centralnego szkolenia młodzieży i pierwszych spotkań w reprezentacji juniorów. Kochał piłkę nożną i marzył o sławie. Jego droga do futbolu była jednak trudna, a jej początki nie tak błyskotliwe jak Lubańskiego. U Włodka dostatek i nienaganne wychowanie, u Kazia bieda i obawa o jutro. W domu ledwo wiązano koniec z końcem. Chłopak był wychudzony, sylwetkę miał nie tak zgrabną jak jego rówieśnik. Wierzył jednak, że futbol ułatwi mu awans społeczny i wyjście z małego miasteczka w szeroki świat. Rodzina też żyła nadzieją na udaną karierę prowincjonalnego kopciuszka.

Zaczął od rozgrywek o Puchar Michałowicza. Byłem przy tym, widziałem te niełatwe początki. Talent, to nie wszystko, trzeba jeszcze by się na nim poznało. Deyna przez jakiś czas nie był właściwie postrzegany przez niektórych działaczy i trenerów. Na szczęście był Wiesław Motoczyński (jak on, to i ja!) oraz trener reprezentacji juniorów Jerzy Słaboszowski i współpracujący z nim wtedy Leszek Jezierski. Dostrzegliśmy w grze Deyny coś, czego inni nie widzieli lub nie chcieli widzieć. Odkryjmy całą prawdę. Na zgrupowaniach kadry juniorów Kazio był niekiedy przedmiotem żartów. Jego nieskoordynowane ruchy i nieco pokraczny start do piłki denerwowały pseudoznawców. Obiekcje miał nawet trener Antoni Brzeżańczyk.

„Grubeńko” Słaboszowski jednak uparcie twierdził, że *„Deyna – to piłkarz niekonwencjonalny, ma ogromny dar improwizacji. Kiedy zmężnieje, popracuje nad sobą i pozna dorosłe życie, zadziwi wszystkich...”* Fakt, z niektórymi elementami

techniki był jeszcze na bakier, ale umiał znaleźć sobie miejsce w drużynie, intuicyjnie wyczuwał, gdzie pobic, komu podać, kiedy strzelić. Zaczynał jako środkowy napastnik. To nie była jego pozycja, choć niektórzy trenerzy upatrywali w nim łowcę bramek. Błąd. Nie miał szybkości Włodka Lubańskiego, za to mnóstwo innych atutów: ambicję, odwagę, zmysł dyrygenta, niekonwencjonalne zwody i strzały.

Grał inaczej, niż większość rówieśników, twórczo, na pograniczu ryzyka, bez kompleksów, widowiskowo. Po ligowym debiucie Deyny w Łodzi, napisałem w „Przeglądzie Sportowym”: **„Przyjemnym zaskoczeniem w meczu ŁKS – Górnik była zupełnie poprawna gra niedawnego juniora – Deyny. Szybkość reakcji i dobre opanowanie piłki, łatwość uwalniania się od przeciwnika i dokładne przekazywanie piłki partnerom – zjednały Deynie ogólną sympatię widzów”**. Niespełna rok później podziwiałem reprezentacyjny debiut Kazia w meczu Polska – Turcja (8:0!) w Chorzowie. Wejście smoka, niemal równie udane jak w 1963 w Szczecinie pierwszy krok ku sławie Włodka Lubańskiego. Tak to widział trener Ryszard Koncewicz:

– Co zadecydowało, że powołałem Deynę na mecz Polska – Turcja? Widział na boisku znacznie więcej, niż inni. Tym się zdecydowanie wyróżniał. Miał też jeszcze jedną cenną zaletę – może niezbyt silny, ale celny strzał, mocno przy tym podkreślony, bardzo trudny do obrony. Chętnie strzelał z dystansu, przed pola karnego. Wcześniej tak dobrze robił to tylko Ernest Pohl. Obserwowałem Kazia na treningach. Ambitny, pracowity... Chciał być tak dobry jak Włodek Lubański...

Deyna robił błyskawiczne postępy. Właśnie już w roku 1969 w każdym calu, choć nieco inaczej, dorównywał Lubańskiemu. „Kaka”, bo tak w Legii nazywano Kazia (za słynne „rogale” i ruchy a’la „kaczka”), miał wyjątkowe szczęście, że trafił w stołecznym klubie na trenera Vejvodę oraz mistrzów drugiej linii – Brych-

czego i Blauta. Byli mu przyjaźni, dostrzegali jego zalety. Przy nich prawidłowo dojrzał i wyrósł na wybitnego rozgrywającego, reżysera, dyrygenta, lidera drużyny – klubowej i reprezentacyjnej. Dostrzegł to nawet „Sport” Katowice, przyznał Deynie tytuł „Piłkarza Roku”, a „L’Equipe” po голу w Saint Etienne postawiła go na równi z Raymondem Kopą – drugi „Le General”. W konkursie – plebiscycie „Przeglądu Sportowego” zajął szóste miejsce.

Z takimi ocenami i opiniami w kraju i poza jego granicami wchodził Deyna w rok 1970. Stał się obiektem powszechnego zainteresowania i... przetargu. Nadal będzie grał w Legii czy wróci do ŁKS? Przejaskrawiono spór na linii mistrz Polski – klub drugoligowy. Przebąkiwano też o interwencji GKkFiT i „definitywnym zwolnieniu z urzędu”. Takie były wówczas przepisy, oficjalnie nie można było ani kupić zawodnika, ani sprzedać. Ale furtka była – porozumienie zainteresowanych klubów. Mimo kontrofensywy Górnika, ŁKS i Legia szybko się dogadały. Za jaką cenę? Dziś już mało kto to pamięta, jednak faktem jest, że „Le General” pozostał w Legii na kolejnych osiem lat. Czy dobrze zrobił? W tamtych czasach bezwzględnie tak – zarówno dla siebie, dla klubu z Łazienkowskiej i reprezentacji Polski. Nie urzekły Deyny większe środki „na zagospodarowanie” proponowane przez Górnika Zabrze. Przy Vejdzie i Koncewiczu stał się piłkarzem klasy międzynarodowej.

Historycy piłkarstwa dość zgodnie twierdzą, że „czas sukcesów w naszym piłkarstwie to lata 1972 – 1982”. Otwiera ją złoty medal olimpijski wywalczony w Monachium, a zamyka trzecie miejsce na świecie zdobyte podczas Mundialu w Hiszpanii. To wszystko prawda, choć moim zdaniem należy tu mówić co najmniej o „12 latach urodzaju”. Wszystko co dobre, najlepsze w polskim futbolu, zaczęło się już dwa lata wcześniej. Legia i Górnik wiosną 1970 wdarły się do strefy medalowej europejskich rozgrywek pucharowych. To pierwsze znaczące sukcesy. Takich na krajowych boiskach dotychczas jeszcze nie było. W tej sytu-

acji cezura 1970 – 1982 jest niewątpliwie uzasadniona. Legia najpierw wyeliminowała Galatasaray Sztambuł – wszystkie trzy bramki strzelił wtedy już 36-letni Lucjan Brychczy (1:1 i 2:0), a potem zmierzyła się z późniejszym zdobywcą Pucharu Świata, Feyenoordem Rotterdam. Pierwszy mecz w Warszawie rozegrano w fatalnych warunkach atmosferycznych, w dokuczliwym zimnie i na rozmokłym, grząskim boisku. Trudno było grać szybko i kombinacyjnie, czym zazwyczaj imponowała Legia przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Łatwiej było się bronić i taką właśnie taktykę przyjęli Holendrzy. Van Hanegem, Jansen i Hasil zagęścili środek boiska. Do akcji ofensywnych włączali się więc również obaj boczni obrońcy Legii – Władysław Stachurski i Antoni Trzaskowski. Oni też strzelali! Wszystko na nic. Jeśli nawet Gadosze, Żmijewskiemu, Brychczemu i Deynie udało się wymanewrować doskonale grającego reprezentacyjnego pomocnika Van Hanegema i silnego fizycznie stopera Izraela, to bezradni byli wobec rewelacyjnego w tym dniu bramkarza Treytela. Bronił bezbłędnie. Stąd puste bramki.

W Rotterdamie Holendrzy z doktora Jekylla przekształcili się w mister Hyde'a. Zaskoczyli Polaków atakiem wszystkimi siłami. Zaraz po rozpoczęciu gry celnie strzelił Van Hanegem, a w 30 minucie równie dobrze spisał się Hasil i losy meczu zostały praktycznie rozstrzygnięte. Legia próbowała odrobić straty, ale robiła to bez wiary w powodzenie. Grała apatycznie. To nie była ta sama drużyna, która przed kilkoma miesiącami wygrała w Saint Etienne. Piłkarze dziwnie poddenerowani, można było odnieść wrażenie, że myślami są gdzieś daleko poza boiskiem. Dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że ich podróż do Holandii znacznie odbiegała od normalności. Na granicy przyłapano kilku zawodników na niedozwolonym wywozie obcej waluty. Kulisy tego wydarzenia nie są powszechnie znane. Sugerowano, że komuś wyraźnie zależało na zahamowaniu przemarszu Legii przez europejskie boiska. Znamienna jest w tej kwestii

wypowiedź stopera Feliksa Niedziółki w wydawnictwie „**Dzieje Karczewa barwami sportu opisane**”:

...„W Legii – Tosiek Trzaskowski, Władek Grotyński i ja trzymaliśmy się razem. Trio karczewskie bez nałogów, mogliśmy być wzorem dla innych. Wtedy żaden z nas nie pił i nie palił... Przełom, zwłaszcza w życiu Władka, nastąpił w czasie podróży na mecz z Feyenoordem do Rotterdamu. Za drobne przewinienie dewizowe poszedł do więzienia. Dziś nie wiem, czy śmiać się z tego powodu, czy płakać?...

Piłkarze rosyjscy i czescy z Dukli Praga już wtedy mieli własne konta dewizowe. My musieliśmy główkować, jak zdobyć parę dolarów i potem przywieźć z Zachodu jakiś drobiazg, prezent dla rodziny. Nie rozumiem, jak coś takiego, co spotkało Władka i Janusza Żmijewskiego, mogło się zdarzyć w Europie. To takie przykre i upokarzające. Sądzę, że na tej pokazówce komuś wyraźnie zależało. Potrzebna była prowokacja, więc ją sfabrykowano. Złamano kariery i życie wybitnych piłkarzy, ba – całą Legię strącono z piedestału!...”

A tak to widział w tym samym wydawnictwie Bernard Blaut:

...„Wyolbrzymiono drobne kłopoty dewizowe Grotyńskiego podczas wyprawy Legii na mecz do Holandii. Dziś, było by to małe piwo, ale na początku lat siedemdziesiątych urządzono z tego powodu niemiłą pokazówkę. Władkowi stała się wtedy wielka krzywda i od tego momentu zaczęły się jego wszystkie późniejsze niepowodzenia. To wręcz niezrozumiałe. On nigdy nikogo nie zawiódł, zawsze można było liczyć na pomoc z jego strony, ale – gdy jemu powinęła się noga – w biedzie prawdziwych przyjaciół w pobliżu, wokół siebie już nie miał...”

Jak do tego doszło? Wiosna 1970 roku była wyjątkowo kapryśna: „*Kwiecień plecień, co przeplata, trochę zimy trochę lata*”. Zdecydowanie więcej było zimy, w Warszawie boiska nie nadawały się do treningu, zwłaszcza szybkościowego, co przed rewanżem z Feyenoordem miało znaczenie decydujące. Wojskowi „ła-

pali” formę nad kanałkiem piaseczyńskim, a górnicy z Zabrzeza w Ameryce Południowej. Nierówne szanse. Trener Zientara, chcąc przeciwstawić się złośliwej aurze, wymusił na przełożonych wyjazd z drużyną do ośrodka wojskowego klubu z NRD, Vorwaertsu Berlin. I w tym momencie zaczęły się wszystkie nieszczęścia klubu z Łazienkowskiej, proces sądowy trenera i kilku zawodników. Więzienie dla sekretarza generalnego, Edwarda Potorejki. Mocny cios w psychikę. Legioniści grając tak dobrze, jak w niedawnych meczach z Saint Etienne, byliby w stanie pokonać także Holendrów. Tymczasem...

Pierwsze, jakże bolesne uderzenie, zadano legionistom już na lotnisku w Warszawie. Osobistej rewizji poddano kilku zawodników; szczególnie mocno „przetrzepano” Janusza Żmijewskiego i Władysława Grotyńskiego. „Jojo” stracił (na owe czasy) cały swój majątek, środki na zakup samochodu dla chorego ojca, z zawodu kierowcy. Władek w połowie, bo część towaru i dewiz zdołał sprytnie ukryć. Pozostali zawodnicy mieli dusze na ramieniu. „Czystych” w ekipie w ogóle nie było, każdy miał jakąś obcą walutę i coś do sprzedania. Grotyńskiego i Żmijewskiego chciano zatrzymać na lotnisku, dopiero interwencja kilku generałów w zielonych i niebieskich mundurach powstrzymała straż graniczną. Ale legioniści i tak polecili do Rotterdamu w kiepskich nastrojach.

– O przegranej z Feyenoordem – wspomina trener Edmund Zientara – zdecydowały względy szkoleniowo-sportowe, ale w jeszcze większym stopniu skaza na psychice. Zawodnicy poczuli się zastraszeni, więcej uwagi skupili na kłopotach, jakie ich oczekują po powrocie do kraju niż na meczu z Holendrami. Przed tym spotkaniem w ośrodku Vorwaertsu też była zima. Z konieczności częściej ćwiczyliśmy w hali niż na boisku. Na zaprawę w cieplejszych krajach – w Hiszpanii lub we Włoszech nie było nas stać. W kraju odbierano to inaczej, sądzono, że Legia to bogaty klub, a my ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Kokośów nie było. Na Łazienkowskiej grali tylko ci, co wyróżniali się ambicją, silną

wolą i chęcią doskonalenia umiejętności. W tym głównie upatrywali swoją szansę, a nie w pomnażaniu kapitału. Taka jest prawda o „wielkiej” Legii początku lat siedemdziesiątych?...

Prawda... Ale czy cała? Długo w środowisku piłkarskim Warszawy i Łodzi krążyła tylko oficjalna wersja GKKFiT, Legii i ŁKS w tzw. „sprawie Deyny”. Twierdzono, że kluby Legia i ŁKS po partnersku się dogadały i... „casus Deyny” definitywnie znika z łamów prasy. W rzeczywistości była to zaledwie część prawdy, całą znała tylko wąska grupa „wtajemniczonych”, w tym również trener Edmund Zientara. Po udanych meczach z Saint Etienne Kazimierz Deyna deklarował chęć pozostania w Legii, ale nie „za frytki”, jak to dziś przewrotnie określają niektórzy nasi ligowcy, lecz za wymierne korzyści materialne. Wówczas nazywano to „środkami na zagospodarowanie”.

Wymyślić taką formułę można dość łatwo, ale pozyskać środki na ten cel już znacznie trudniej. Kasa Legii była pusta. Ludzie dobrej woli, fakt nie często, jednak od czasu do czasu się pojawiają. Niegdyś Józef Ziemian uratował dla Legii Lucjana Brychczego, teraz „Andrzej” Zientara zdołał zatrzymać w klubie Kazimierza Deynę. „Kaka” kuszony znacznie lepszą ofertą Górnika Zabrze nie wykluczał przeprowadzki na Śląsk. Trener przekonał jednak piłkarza, że nie powinien zmieniać barw klubowych. Jakie miał argumenty?

– Widocznie odbiła mi „szajba” – wspomina tamte lata Zientara. – Wyłożyłem pieniądze „na zagospodarowanie” Deyny z własnej kieszeni. Nie bez podstaw uznano mnie za wariata, bo podobną rolę odegrałem w pozyskaniu do Legii Jana Tomaszewskiego, Lesława Ćmikiewicza i Tadeusza Nowaka. Opinie o potędze finansowej Legii można było między bajki włożyć. Wcześniej na pozyskanie Roberta Gadochy złożyli się niektórzy wyżsi oficerowie Ministerstwa Obrony Narodowej. Taki w rzeczywistości był wówczas wizerunek naszego klubu. Kolos na glinianych nogach...

Wścibscy oczywiście zapytali: – A skąd Zientara ma tyle pieniędzy? Ja wiedziałem. Na początku lat sześćdziesiątych przez pewien czas grał, pracował, był też trenerem w Australii. A że nigdy nie pił i nie palił, w ogóle stronił od pozasportowych rozrywek, sporo grosza zaoszczędził i... prawie wszystko to wpakował w utrzymanie przy życiu drużyny piłkarskiej Legii. W połowie lat sześćdziesiątych przy kawie zwierzył mi się z tej australijskiej przygody.

„Początek miałem fatalny, już w pierwszym meczu z grecką drużyną Hellas złamałem nogę. Rozpacz – pięć miesięcy bez piłki... Dopiero rok 1963 był pomyślny. Nogę wykurowałem i grałem w jednej drużynie z Wiesławem Jańczykiem z ŁKS i Edwardem Jankowskim z Górnika Zabrze. Raju w Melbourne tyle, co na lekarstwo, trzeba było twardo pracować, tam nikogo nie obchodziło, że ktoś jest piłkarzem... Do roboty! Nie ma taryfy ulgowej!

Ja na przykład od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie pracowałem w firmie samochodowej Leyland... Na szczęście, przed powrotem do Polski, byłem jeszcze trenerem Polonii Melbourne. To mnie nieco mocniej postawiło na nogi. Sporo zaoszczędziłem. O kraju i naszej lidze nie zapomniałem. Na dworcu głównym w Melbourne kupowałem „Przegląd Sportowy” i „Życie Warszawy”. Drżałem o losy Legii, bo był moment, że groził jej spadek z I ligi. Myślałem o przyszłości, wierzyłem, że kiedyś będę trenerem na Łazienkowskiej i w potrzebie pomogę klubowi...”

Zientara pomógł klubowi nie jeden raz. Najpierw wykladał pieniądze z własnej kieszeni, co już było sporą lekkomyślnością, a później – również bez głębszego zastanowienia – pośredniczył w przedsięwzięciu, które w tamtych czasach uznano za grube przestępstwo. W roku 1971, tuż przed zakończeniem sezonu, menedżer Juliusz Ukraińczyk, wiedząc że w Legii „bieda aż piszczy”, zorganizował we Francji z udziałem wojskowych kilka towarzyskich spotkań piłkarskich. Chodziło w nich głównie o podreperowanie pustych kieszeni zawodników. Sęk

jednak w tym, że Ukraińczyk nie mając na koncie niezbędnej gotówki, znaczną część umówionego wynagrodzenia, przekazał w... bryłce czystego złota.

Podjął je Zientara i przewiózł do Warszawy. Ktoś ze „spółdzielni ucho” oczywiście doniósł to do prokuratury wojskowej. Złoto zabrano, zawodnicy nie powąchaliby ani złotówki, a trener przez cztery miesiące – od października 1971 do marca 1972 roku – przesiedział w areszcie tymczasowym na Rakowieckiej. Wcześniej „posadzono” Grotyńskiego i Żmijewskiego. Wkrótce jednak z więzienia w Wojkowicach wyciągnęło Władka Zagłębie Sosnowiec i tam grał bez większych przeszkód, zaś Janusz jakimś równie przedziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się w Ruchu Chorzów. Tam mogli grać, natomiast w Legii – nie.

Trenera „resocjalizowano” do rozprawy. Oskarżyciel nie był w stanie pojąć, że jeszcze żyją na tym świecie tak nierozważni ludzie jak Zientara. Wykładać z własnej kieszeni tak duże pieniądze na kupno zawodników? Skąd je brał? Filantrop czy przestępca? Andrzej miał na szczęście odpowiednie „kwity”, potwierdzające legalność i wysokość posiadanej waluty. Oszczędności ulokował w Rotundzie na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Tam były żywe dowody. To go uratowało, uniknął skazującego wyroku. Sprawę „przemytu złota” też wyjaśniono, bo – jak się okazało – zaraz po powrocie z Francji Zientara powiadomił o tej transakcji odpowiednie władze.

W Legii jednak już nie pracował. Losy Grotyńskiego i Żmijewskiego były podobne – obu usunięto z klubu. Na tej „czystce” wewnętrzne porachunki na Łazienkowskiej jeszcze się nie zakończyły. Sfabrykowano jeszcze jedną, już trzecią z kolei aferę. Teraz szczebel był już bardzo wysoki. Oskarżono i skazano, przypisując wyimaginowane przeróżne przestępstwa, także szefa klubu, pułkownika Edwarda Potorejki. Czepiano się drobiazgów z bieżącej pracy klubu i jego sekretarza generalnego, a także „błędów politycznych” z niedawnej przeszłości. W roku 1966 Legia obchodziła swoje Złote Gody. Wówczas to dzięki staraniom

Potorejki Wojskowe Zakłady Graficzne w okazałym wydaniu książkowym opublikowały historię stołecznego klubu.

Właśnie w tym wydawnictwie dopatrzono się owych „błędów politycznych”. Szło o legiony, de facto twórcę klubu i prezentację wyższej rangi oficerów z lat międzywojennych, którzy wówczas patronowali Legii i przyczynili się do jej rozwoju. To zgubiło Potorejkę, bo... działał „nie po linii i nie na bazie”. Teraz jest inne wojsko i tylko ich dowódcy zasługują na wyróżnienie. Dokonano więc swoistego harakiri – niemal cały nakład książki przeznaczono na przemiał. Nieliczne uratowane egzemplarze, to już były „białe kruki”, sprzedawano na bazarze Różyckiego na Pradze po 500 złotych za sztukę. A Potorejkę na kilka lat osadzono w więzieniu. Być może cierpiał również za to, że zaraz po wojnie był adiutantem generała Józefa Kuropieski?... Też był „starej daty”, nie mógł więc być pupilem ówczesnej władzy. Trefny szef, to i przyboczny podejrzany...

Piłkarska Warszawa zaczęła się zastanawiać, co właściwie rodzi takie anomalie. Czy inicjatorzy „casus Legia” rzeczywiście kierowali się tylko troską o poziom sportowy i czystość moralną w naszych klubach? Dlaczego Grotyński i Żmijewski w Warszawie, w klubie wojskowym byli „spaleni”, natomiast na Śląsku i w Zagłębiu wręcz przeciwnie – mile widziani? A potem zatruto życie szefowi klubu i trenerowi! Długo panowała w tej sprawie „zmowa milczenia”. Dopiero po upływie kilku lat tu i ówdzie zaczęto sugerować, że te naganne praktyki można (i trzeba!) połączyć ze zmianami kadrowymi w kierownictwie PZPR. Partyjny i rządowy „desant ze Śląska”, jaki na początku lat siedemdziesiątych opanował stolicę, miał również w piłkarstwie ściśle określone plany. Legia – sportowy symbol Warszawy nie była dobrze widziana. Teraz do rangi „drużyny rządowej” wyniesiono Górnika Zabrze.

W gronie naocznych świadków tamtych wydarzeń zwłaszcza dziś uważa się, że była to dokładnie przemyślana prowokacja. Poszukiwano w drużynie

mistrza Polski „ludzi do odstrzału” i znaleziono. Najpierw byli to dwaj piłkarze, potem ich trener, wreszcie ich klubowy przywódca. Wszystko prawidłowo, jakby drogą służbową, kolejno według szarży: od szeregowców poprzez dowódcę plutonu aż do szefa pułku. Efekt końcowy tej „czystki” dobrze wszystkim znany. Niemal w całym dziesięcioleciu 1971 – 1980 wojskowa Legia była w cieniu klubów cywilnych z Zabrze, Chorzowa, Bytomia i Mielca. Tam pieniędzy w bród, bo i CRZZ miał w tym swój interes, a na Łazienkowskiej wciąż finansowa bryndza. Nie pojawił się już taki drugi wariant z kasą, jak Zientara, który ciężko i uczciwie zarobione pieniądze miałby ochotę wydawać na sport. Legia wegetowała.

Edmund Zientara, choć mu tak okrutnie zaszargano opinię, niechętnie dziś wraca do tych nieprzychylnych mu wydarzeń. Nigdy i nigdzie nie szukał zemsty, rewanżu i wyrównania rachunków za poniesione krzywdy. Pogodził się z losem? Broń Boże, dążył jednak bardziej humanitarną drogą do zatarcia pomówień i bezpodstawnych oskarżeń. Uznał, że tylko rzetelną pracą, tak w piłkarstwie polskim, jak i zagranicznym jest w stanie ukazać swoją nietuzinkową osobowość i prawdziwą wartość. To człowiek futbolu w trzech wymiarach i w każdym wybitny – jako zawodnik, trener i działacz. Wielokrotny reprezentant Polski, mistrz w swoim fachu, jeden z najbardziej kompetentnych sekretarzy generalnych PZPN. Docenili to nawet ci, co go oskarżali.

Dużo obywatel wie i potrafi. Ma czyste intencje. Proszę te wszystkie przykre przeżycia przenieść na papier i w formie wniosków złożyć w odpowiednich urzędach. Może to pozwoli uwolnić nasz sport od tego rodzaju nieporozumień i schorzeń.

Zientara przyjął tę ofertę w dobrej wierze i... jeszcze raz dał się „wpuścić w maliny”. Opracował dokument, który śmiało można by podnieść do rangi trak-

tatu o dobrej robocie w naszym futbolu. Mądre te uwagi dotarły ostatecznie na biurko jednego z ówczesnych wicepremierów. Przejrzał to, przeczytał i na tym się skończyło. Nigdy nie ujrzały światła dziennego...

Rozprawa piłkarzy toczyła się w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej. Praktycznie cały proces z wypiekami na twarzy śledził znany wtedy sędzia piłkarski, Jerzy Hołub. Szczęściarz, bo o przepustkę było bardzo trudno. Nie bez podstaw mówiono potem: – *Gdzie diabeł nie może, tam Hołuba pośle*". Jurek zapoznał mnie z klimatem i niektórymi szczegółami tej pokazówki. Podziwiał spokój oskarżonych, zwłaszcza Władka Grotyńskiego. Podczas którejś z kolei odsłony tego upokarzającego spektaklu udało mu się (tak twierdzi) w czasie przerwy w rozprawie zadać oskarżycielowi tylko jedno, ale jakże ryzykowne pytanie: – *Dlaczego jest pan tak okrutny wobec tych piłkarzy?*

Prokurator jednoznacznie sugerował bliskie kontakty oskarżonych z grupą przemytniczą, z którą już od dość dawna współdziałali niektórzy koszykarze Legii. Władek Grotyński od początku do niczego się nie przyznawał. Na każde, nawet najbardziej perfidne zarzuty, miał własne zdanie. Często zwlekał jednak z odpowiedzią – grał na czas, pytał sędziego, czy może zajrzeć do notatek. Jeśli pozwolił, Władek otwierał wówczas grubachny brulion, ponad stukartkowy, coś tam wyszukiwał, sprawdzał i dopiero wtedy odpowiadał na pytania.

– Czy oskarżony sam, bez niczyjej pomocy, przemycił niedozwolone towary i dewizy?...

– Proszę wysokiego sądu, to ja już jestem oskarżony? Myślałem, że tylko podejrzany?... W sezonie grałem w piłkę nożną w Legii, a w zimie w Okęciu w hokeja na lodzie. Tam zaprzyjaźniłem się z pewnym bagażowym z lotniska. Czasami zupełnie nieświadomie pomagał mi nieco szybciej przejść przez komorę celną.